

OD REDAKCJI

ZŁO Z KORZENIA NIEPRAWDY

Zło współstanowi kontekst życia ludzkiego. Odkąd, przekraczając grzechem granicę „początku” teologicznego, człowiek zamieszkał w doczesności, jest zmuszony zmagać się ze złem w sobie i wokół siebie. Problem zła dotykający istotę ludzką z różnych stron: od strony przyrody, z ręki innych ludzi czy z własnej woli – jest jednym z najtragiczniejszych i – trzeba to powiedzieć – najbardziej fascynujących myśli człowieka problemów.

Na przestrzeni dziejów można zaobserwować nieprzerwany właściwie ciąg usiłowań geniuszu ludzkiego pragnącego zapanować rozumowo, moralnie lub artystycznie – nad złem. Można wymienić tylko kilka z najbardziej znaczących dla rodu ludzkiego przejawów borykania się z problemem zła; przejawów – dodajmy – wiążących się z dramatami egzystencjalnymi lub światopoglądowymi twórców. A więc Wolter i trzęsienie ziemi w Lizbonie, Dostojewski i dzieci krzywdzone przez choroby i ludzi, Tadeusz Borowski i Adorno wobec Oświęcimia oraz Szalamow i Sołżenicyn wobec Kołymy, wreszcie najbardziej współczesny przykład: doktor Nathanson i jego film *Niemy krzyk*.

U ostatecznych korzeni zła tkwi tajemnica stanowiąca teologiczną istotę grzechu, tajemnica, którą rozświetlić może dopiero odpowiedź na pytanie wielkiego Anzelmia z Aosty: *Cur Deus homo?* Dlaczego Bóg człowiekiem? Ale jak daleko musi zawędrować już na drodze w głąb samego siebie ten człowiek, który to pytanie stawia? Czy nie musi mieć już za sobą drogi Pascala? „Nędza pcha do rozpacz, duma do zarozumienia. Wcielenie ukazuje człowiekowi wielkość jego nędzy przez wielkość lekarstwa, jakiego było trzeba”. Konieczna była aż taka interwencja! „Sprawa człowieka” musiała się stać „sprawą Boga-Człowieka”, by człowiek odnalazł – wraz z Nim i w Nim – samego siebie.

Podjmując w niniejszym numerze „Ethosu” temat Człowiek wobec zła nie pretendujemy do podjęcia, a tym bardziej rozwiązania tego problemu w całej jego obszerności i złożoności. Zawartość numeru wypełniają w większości materiały omawiające problem zła z punktu widzenia różnych konkretnych dziedzin, w których ono występuje. Stąd ogólniejsza, a co się z tym wiąże, trudniejsza „w pierwszym czytaniu” optyka tego edytoriału, stawiającego sobie za cel zarysowanie całościowej wykładni numeru. Podjmujemy tę część problematyki zła, której aktualność jawi się może najbardziej groźnie w naszych czasach.

Zło w kontekście antropologiczno-etycznym to antywartość, która uobecniła się w świecie ludzkim, odkąd człowiek otrzymał wolność i stanął z nią w obliczu prawdy. Wartością współmierną do tej podstawowej sytuacji antropologicznej jest prawda o tożsamości człowieka, czyli prawda o jego godności.

Sprawa spełnienia tożsamości człowieka nie rozstrzyga się jednak bez reszty – wbrew temu, co sądził Sokrates – na płaszczyźnie samopoznania, lecz dopiero na płaszczyźnie wolnego wyboru i – mającego w nim swe źródło – działania. Samopoznanie dla samospełnienia człowieka, dla uzyskania przezeń pełni swej tożsamości jest warunkiem koniecznym, lecz nie wystarczającym. Jedynie wybory i działania, które posiadają znamię miłości, czyli znamię współmiernej odpowiedzi na prawdę o wartościach, zwłaszcza na prawdę o godności człowieka, są dopiero w stanie zagwarantować mu tę pełnię, która definitywnie rozstrzyga o jego tożsamości z samym sobą. Problem tożsamości człowieka sprowadzałby się więc do tego, by człowiek nie tylko poznał prawdę o sobie, lecz by ją także wybrał, by po prostu „czynił miłość”. Osobliwością tej tezy jest zatem to, że ostatnie słowo w sprawie człowieka (anthropos) przenosi się z poznania (logos) na czyn (praxis), z antropologii do antropopraksji, oraz że dopiero w spełnianiu aktów miłości widzi dla człowieka możliwość samospełnienia, możliwość uzyskania „definitywnej definicji” samego siebie. Osobliwością tej tezy jest jednak i to, że w akcie poznania obiektywnej prawdy o człowieku, w antropologii, zwłaszcza zaś w akcie samopoznania, widzi konieczny – choć jeszcze nie wystarczający – warunek aktu miłości.

Odwieczny problem zła antropologicznego – „problem kainowy” – zasada się na wyborze takiego działania, w którym nieobecna jest miłość. Człowiek człowiekowi (drugiemu, sobie, wspólnotnie) czyni zło. W czynie tym objawia się, a poniekąd i warunkuje go, negacja prawdy o człowieku, będącej zarazem prawdą człowieka, właśnie koniecznym warunkiem jego tożsamości. Klasyczna koncepcja zła jako braku dobra ukazuje tutaj swoje antropologiczne oblicze: zło jako b r a k m i ł o ś c i, u podstaw którego leży b r a k p r a w d y.

Jeśli akt miłości jest aktem wyboru prawdy o człowieku, prawdy uprzednio rozpoznanej, to w takim razie sprawa samospełnienia człowieka może być zagrożona już na poziomie jego samopoznania, a to wskutek błędnego ujęcia prawdy o samym sobie. Błąd w samopoznaniu to coś, co ma miejsce – podobnie jak akt miłości – w samym podmiocie, w jego wnętrzu. Lecz ten, kto błądzi, nie wie, że błądzi. Błądzący jest raczej ofiarą błędu (wynikającego z „nie-poznania”, jak to nazywa w tym numerze „Ethosu” Krzysztof Kąkolewski) niż jego autorem, zupełnie inaczej niżeli w przypadku miłości, kiedy to sam podmiot decyduje się na wybór lub odrzucenie poznanej przez siebie prawdy o człowieku. Miłość może być wyłącznie dziełem samego podmiotu. Natomiast błąd może mieć swe źródło poza nim

s a m y m, może być „dziełem” kogoś z z e w n ą t r z. Nie musi się przy tym wiązać z zaniedbaniem osób odpowiedzialnych za szerzenie oświaty i wykształcenia, z brakiem dopływu informacji, z ich niedomiarem. Niekiedy może się wiązać z ich nadmiarem. Człowiek może się stać obiektem zamierzonej dezinformacji. Niekiedy zaplanowany system indoktrynacji podsuwa mu w sugestywny sposób przeróżne półprawdy o człowieku w przebraniu wyzwalającej go prawdy. Jest to najskuteczniejszy sposób manipulowania człowiekiem. Wykorzystuje on bowiem do maksimum jego dobrą wolę. Korzysta z rozpędu jej dynamiki. Zwodzi i wodzi mocami jej własnej energii. Manipulowany nie zdaje sobie sprawy z tego, że jest obiektem ukrytych strzelców, że ktoś oddziałuje zdalnie na jego wybory przez kształtowanie jego świadomości. Jest przekonany, że sam o sobie stanowi, że kieruje się prawdą. Wybiera nie wiedząc, że wybiera to, co już za niego i dla niego ktoś inny wybrał. Taki „rząd duszami” możliwy jest zwłaszcza dla tego, kto zdołał w swym ręku skoncentrować znaczną siłę masowych środków przekazu.

Istnieje pewien – wcale nierzadki w dzisiejszym społeczeństwie – rodzaj ulegania złu, będący swoistym połączeniem drogi „nie-poznania” i drogi manipulacji. Jego istotą jest niechęć do otwierania się na prawdę, unikanie dialogu, z jednej strony; z drugiej zaś, bezkrytycyzm i intelektualna bezwolność. Ktoś, kto „poprzestaje na tym, co wie” lub nie lubi konfrontacji swoich poglądów z innymi, zamyka się często w wygodnym błędzie lub przyjmuje przypadkowe czy narzucone opinie jako własne. (W obecnym numerze „Ethosu” Czytelnik znajdzie kilka artykułów ukazujących zagrożenia płynące z tego typu postawy).

Często jednak ośrodki zdalnego sterowania ludźmi nie umieją sobie zapewnić spodziewanej skuteczności oddziaływania na ich wybory drogą samego tylko kształtowania ich przeświadczeń. Uciekają się wtedy do bardziej bezpośredniego – a przez to bardziej jawnego – sposobu manipulowania ludzkimi decyzjami. Są to groźba lub obietnica: groźba pozbawienia człowieka wartości niezbędnych dla jego egzystencji i normalnego rozwoju lub obietnica zdobycia ich w ułatwiony sposób. Formy i zasięg stosowanego tu – alternatywnie czy łącznie – przekupstwa lub przymusu mogą być najrozmaitsze. Wspólne im obu jest to, co je różni od metod manipulowania za pośrednictwem informacji: obie rezygnują z osłaniania prawdy jej pozorami.

Nie wolno nie widzieć i nie doceniać wagi tych zewnętrznych, pośrednich źródeł zagrożenia tożsamości człowieka. Upadek komunistycznego totalitaryzmu nie usunął całkowicie zła tkwiącego w niektórych strukturach prawnych, instytucjach czy mass mediach. Pojawiły się także nowe zagrożenia, które nazwać można strukturalnymi. Trzeba jednak dostrzegać również nieprzekraczalną granicę ich zasięgu. Jest nią próg ludzkiej wolności, owo: „mogę, nie muszę”. Jest nią próg – nieodłączalnego wręcz od samego człowieka sposobu bycia – pytania: *K i m j e s t e m n a p r a w d ę?* Próg pyta-

nia, które jest niezbywalnym prawem człowieka i zarazem osaczającą go wciąż zniecka powinnością. Pytanie to dyktuje najwyższą ostrożność w rzucaniu odpowiedzialności za czyny jednostek na tzw. struktury i – odpowiednio – w usprawiedliwianiu aktualnego postępowania poszczególnych osób wyłącznie brakiem określonych warunków zewnętrznych. Nawet najbardziej wyrafinowany system dezinformacji i przemocy nie jest władny sam przez się zawładnąć człowieczeństwem, podmiotowością kogokolwiek. Zniewolenie, do jakiego zmierza system czy struktura, musi w końcu przybrać postać aktu zgody danego podmiotu na działania zniewalające, postać aktu samozakłamania i samozniewolenia. Akt kapitulacji wewnętrznej wobec aktu przemocy jest wciąż jeszcze aktem wolności. Poza tym tzw. system przemocy nie „staje się” nigdy sam przez się, lecz jest dziełem określonych, konkretnych osób ludzkich, i w swym powstaniu, i trwaniu. Oto dlatego najbardziej radykalne zagrożenie człowieka pochodzi ostatecznie od niego samego, ze strony jego wolnego wyboru, wyboru negacji prawdy o godności człowieka, czyli ze strony negacji miłości. Popaść w najbardziej radykalny kryzys to wybrać nieprawdę, niemiłość i trwać w niej.

Smutną oczywistością doświadczenia, któremu w imieniu nas wszystkich przejmujące świadectwo składa Owidiusz swym: *video meliora proboque deteriora tamen sequor* (widzę i aprobuję to, co dobre, czynię zaś to, co złe), jest, że człowiek raz po raz wybiera tę antymiłość, że dokonuje śmiercionośnych aktów rozbicia swej tożsamości. Sama więc logika problemu samoidentyfikacji prowadzi nas do kolejnego, centralnego dla sprawy człowieka pytania: Czy w obliczu tych tragicznych faktów – skoro są tak częste – nie trzeba człowiekowi wyciągnąć wniosku, że nie ma on w sobie samym dość mocy, by wybrać miłość, czyli dość mocy, by wybrać i udźwignąć w niej samego siebie, ciężar i cenę swej tożsamości. *Amor meus – pondus meum*. Czy fakty te nie każą mu zwątpić w samego siebie, uznać, że jest „pasją daremną”? Czy nie usprawiedliwiają wręcz jakiejś ostatecznej, rodzącej rozpacz niewiary w samego siebie, skoro właśnie one ukazują mu jego własny status egzystencjalny jako naznaczony absurdem i – co gorsza – przez siebie samego spowodowany, więcej – ciągle nadal przez siebie samego powodowany, ciągle bowiem na nowo wybierany?

W tej właśnie perspektywie węzłowy dla sprawy tożsamości moralnej człowieka i jej poczucia problem: miłować albo nie miłować, przechodzi w problem-dramat: *móc albo nie móc miłować*. Odtąd: *móc albo nie móc być samym sobą* (innymi słowy: *będąc – bo nie mogąc nie być – człowiekiem rzeczywistym, móc albo nie móc stać się również człowiekiem prawdziwym*) to pochodna: *móc albo nie móc miłować*. W tej też postaci problem miłości staje się pytaniem, z którego pozytywnym rozwiązaniem człowiek dopiero może wiązać to wszystko, co odtąd już zasługuje wyłącznie na nazwę problemu samoocalenia, zbawienia i na miano jedynej dla człowieka nadziei. Nadziei na prawdziwego człowieka, człowieka na

miarę prawdy o człowieku. Sens nadziei musi być współkonstituowany przez wartość prawdy. Nadzieja w imię prawdy! Dać nadzieję człowiekowi to dać mu nadzieję na samoocalenie, a dać mu nadzieję na samoocalenie to dać mu nadzieję na: moc miłować, moc wybrać prawdę o sobie, moc wybrać czynem współmierną na nią odpowiedź. Nie ma innego problemu nadziei, jeśli słowo „nadzieja” ma nie kłamać, jeśli ma nie być użyte po to, by zasłonić człowiekowi dokładnie to, co winno mu przede wszystkim odsłonić: drogę do „moc miłować”. Oto dlaczego właśnie w drodze na szczyt Golgoty, na szczyt Miłości, która się stała naszą „jedyną nadzieją”, padły słowa: „Ja się na to narodziłem i na to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie” (J 18, 37).

Wszelka więc próba zlokalizowania problemu nadziei poza kontekstem „moc miłować” i poza horyzontem prawdy obiektywnej o człowieku oznacza zepchnięcie problemu na bezdroża. Oznacza fałsz już w samym jego stawianiu, wykluczający z góry możliwość trafnej odpowiedzi. Słabość ludzka – wspomagana powierzchownością myślenia – była, jest i zawsze będzie łatwym łupem piewców złudnych nadziei. Łatwo jest człowiekowi ulec pokusie dania wiary tym, którzy zdają się gwarantować mu bardziej atrakcyjną i zarazem krótszą drogę do pełni samego siebie; drogę, która ma mu właśnie zaoszczędzić owego – skrajnie trudnego – „moc miłować”.

Nasz wiek XX jest jednak okresem szczególnie podatnym na powab różnych odcieni wypreparowanego z prawdy, a więc zmistyfikowanego pojęcia nadziei. Po okresie mitu klasy oraz mitu rasy, które ośwładnęły umysłami rzesz ludzkich i doprowadziły do nieobliczalnych ofiar, ludzkość wchodzi – a w wielkiej części już weszła! – na drogę powtarzającą dawny, bo sięgający epoki Oświecenia, schemat odwracania się od prawdy o człowieku. Na drogę wyzwolenia siebie – poza prawdą.

Dotykamy tu źródła bodaj większości przejawów zła antropologicznego naszych czasów. Jego istotą jest wykorzenienie człowieka z samego siebie i zastąpienie jego prawdy – natury – wzorem, modelem czy ideałem stosowanie do osobistej „strategii życia” dyktowanej przez „libido” (sentienti, possidendi czy dominandi) lub – konformizująco – stosownie do potrzeb większości, epoki kulturowej czy ideologii. To zło nie jest na początku prymitywną demonstracją siły czy kłamstwa. Jest – można rzec – na miarę intelektualnych technik XX wieku. Realizuje się na drodze niezwykle zwodniczego, gdyż prawie niezauważalnego, eliminowania prawdy z miłości i – konsekwentnie – z nadziei. Zwodniczość operacji polega na podstawieniu pod słowo „prawda” znaczenia, które jest zaprzeczeniem jej autentyczności. I na pozostawieniu... słowa! Ma to swój efekt. Słowo, które dotąd znaczyło „odkrywać siebie”, znaczyć ma odtąd „kreować siebie”. „Konstatować prawdę o sobie” znaczy teraz „konstituować prawdę o sobie”. Wyobraźnia twórcza zastępuje lub zdominowuje intelekt. Podmiot odnośnego aktu staje się z odkrywcy prawdy o sobie jej twórcą. Zostaje obwołany

autokreatorem. Droga do kreacji samego siebie staje się jedyną do... wyzwalającą prawdy o sobie!

Odpada tu więc z zasady potrzeba odkrywania prawdy o sobie przez samopoznanie. Odpada też obowiązek i trud dochowania jej wierności aktem najtrudniejszym ze wszystkich: czynem, będącym teźże prawdy wyborem, czynem miłości. Odpada „czynienie prawdy w miłości”. Kryzys człowieka, zło trapiące ludzką kulturę wedle tej wykładni nie miałyby wcale polegać na zagubieniu siebie wskutek nierozpoznania samego siebie ani – tym bardziej – na sprzeniewierzeniu się samemu sobie przez „nie” aktem wolnego wyboru dla odkrytej w sobie prawdy o sobie, a więc, że ciągle nie dość „tak” dla tego, kim się w swym zapisie bytowym jest „od początku”, że nie dość w człowieku miłości. Kryzys – widziany oczyma licznych zwolenników tej koncepcji z Zachodu i Wschodu – polega głównie na braku oryginalnego w myślenia siebie, „myślenia w przyszłość”, na braku „twórczości sumień” („kreatywnej świadomości”) w projektowaniu siebie, na braku pomysłowości w kreowaniu „prawdy” o sobie. Tylko bowiem taka „prawda” liczyć się może w perspektywie ludzkich nadziei. Odtąd ocalenie człowieka, jego nadziei, nie będzie polegać na tym, że „wraca on do siebie”, do swego „początku”, że się nawraca, że się rozpoznaje i wybiera siebie, lecz na tym, że człowiek swój początek sam określi, że go powoła do istnienia. Rewolucję miłości, rozumianą jako wybór prawdy wpisanej w byt człowieka, a odkrytej dzięki samopoznaniu, zastąpi rewolucja samostworzenia, rewolucja autokreacji, (s)twórczości.

Można postawić twierdzenie, że ukazany tu typ myślenia – stwarzającego imitacje nadziei oparte na imitacjach, czy wręcz falsyfikatach prawdy – jest jednym z głównych czynników destrukcji czy – jak się zwykło ostatnio powtarzać w literaturze filozoficznej – dekonstrukcji pojęcia i poczucia tożsamości człowieka w świecie współczesnym. Zło wyphywające z wcielenia takiej postawy intelektualnej w życie praktyczne lub – zgodnie z tym, cośmy wyżej powiedzieli o „bezwiednym” uleganiu treściom podawanym przez środki przekazu – „nasiąkania” nią w trakcie nie dość krytycznej recepcji treści kultury, obejmuje szerokie przestrzenie działalności człowieka. Jego ślady – niejednokrotnie tragiczne – rozpoznać można w każdym bez mała przekroju społeczności ludzkiej. Poczawszy od prostych stosunków międzyosobowych życia w rodzinie, poprzez szkołę i zakład pracy, sfery polityczne i grupy gospodarcze, aż po naukę, sztukę, a nawet Kościół. (Egzemplifikacją tych zjawisk są po części materiały zawarte w tym numerze „Ethosu”). Coraz częstszym owocem tej postawy są swoiste struktury (ideowe, polityczne i in.) powstałe na fundamencie consensusu co do formy kształtowania w sposób w istocie dowolny życia człowieka. Kształtowania, a nawet odbierania życia – jak w przypadku akceptacji aborcji.

Rozmiary zła i głębokość jego korzeni, które tu próbowaliśmy ukazać, nakazują pochylić się nad tym problemem z najwyższą uwagą. Tu nie chodzi

tylko o jedną z wielu formacji ideowych pluralistycznego świata. To skutek „zwichnięcia” antropologicznego, które utrwalając przez kilka wieków skrzywioną optykę widzenia człowieka, może – jeśli nie zastosuje się odpowiedniej terapii – doprowadzić do „katastrofy antropologicznej”. Konstatacja ta ma walor nie tylko namysłu badawczego, ale i alarmu.

T.S. i W.Ch.